# ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Kwietnia — Nr. 15. — Roku 1843.

## RUBENS.

W niespokojny czas wewnętrznéj wojny w Niderlandach, jako ofiara nieładu i łupieztwa, Jan Rubens, doktor prawa i radca magistratu, opuścił z małżonką swą Maryją i dziećmi Antwerpiję i osiadł w Kolonii, gdzie otrzymawszy prawo miejskie, założył handel śrebrem, i spokojne prowadził życie. Daleki od trwóg i niepokojów politycznych, na łonie rodziny znalazł radość i dostatki. W r. 1577 urodziło mu się siódme dziécię, to jest syn, któremu z woli matki dano imię Piotr Paweł.

Piérwsze lata życia Piotra Pawła Rubensa nie zawiérały w sobie nic szczególnego, chował się śród pieszczot rodzeństwa, pod troskliwém okiem matki. Żywość charakteru i piękność, jednały mu miłość każdego, a szczególniéj kochała go chrzestna matka, hrabina Laden, i prosiła rodziców usilnie, ażeby jéj chrzestnego syna powierzyli; zamiarem jéj było umieścić go za pazia, a gdy podrośnie, przez swój wpływ u dworu, wyjednać mu stopień oficera w wojsku. Mefrou Maryja, lękała się i niebezpieczeństwa wojny i gorszącego życia dworskiego, i dla tego zgodziła się wraz z małżonkiem swym sposobić malutkiego Piotra na prawnika. Oddali chłopczynę do szkoły, gdzie wkrótce nietylko że się zrównał, lecz nawet przewyższył wszystkich swoich współuczniów. W dziesiątym roku życia swego z łatwością tłumaczył greckich pisarzy, tak dalece, że, jak się wyraża jeden z jego bijografów, pokazywano na ulicach na Rubensa jak na szczególność jaką, z podziwieniem słuchano jego żywych tłumaczeń wiérszy Homera i mów Demostenesa, chociaż sam wzrostem swoim ledwie do pasa sięgał słusznym osobom. — Minher Jan Rubens szczęśliwy był i pysznił się postępami syna, największą było jego rozkoszą w niedzielę lub święta, posadzić koło siebie w gabinecie dzieciucha i słuchać wdzięcznego i przyjemnego czytania klasyków: Plutarcha i Homera, których nad innych przenosił Piotruś, a malownicze opisanie bitew i bohatérskich trudów, lubił namiętnie.

Przyszedł pięćdziesiąty siódmy dzień urodzin Jana Rubensa, wielka uroczystość pośród jego rodziny. Dzieci szczęśliwego ojca po kolei znosili mu swe dawno sekretnie przygotowane dary. Każde podług sił swoich starało się sprawić radość ojcu. Córki Klara i Blondyna, ofiarowały jedna szyty złotem płaszcz, a druga wytwornéj roboty rękawiczki; starszy syn Filip, podał mu mowę, którą miał uroczyście w luwańskim uniwersytecie; Balist piękną szkatułeczkę własnéj roboty; Henryk śliczne rysunki; Bartłomiéj powinszowanie, wybornie ornamentami ubrane i kaligraficznie napisane. Nareszcie przyszła koléj na Piotra. Podał on ojcu Tassa: *Jeruzalem wyzwolony,* książkę, którą mu tenże przed trzema miesiącami tym celem darował, ażeby się z prześlicznym włoskim obeznał językiem.

»Którą pieśń każesz przetłumaczyć kochany ojcze?« zapytał się Piotr z powagą profesora wstępującego na katedrę w upudrowanéj peruce.

Ojciec otworzył książkę na oślep, a chłopczyk nie zająknąwszy się, przełożył mu od początku do końca cały epizod: *Gaj zaczarowany,* tak zręcznie i tak wybornie, jak gdyby go po flamandzku czytał.

W uniesieniu i ze łzami radości przycisnął Jan Rubens syna do piersi i ucałował go serdecznie. »Walny będzie z ciebie chłopiec. No biegajże teraz bawić się z siostrami

i braćmi«, widząc, że dziecina z tajemniczą miną obraca w ręku dużą księgę Tassa.

Chłopczyk zamiast odpowiedzi, położył książkę na kolanach ojca i pokazał mu na białych miejscach, gdzie były początki rozdziałów każdéj pieśni, ołówkiem wyrysowane główne sceny każdego poematu. Bezwątpienia w téj pracy dziesięcio-letniego dziecka, które się dotąd rysować nie uczyło, znalazło by się wiele nieregularności; wszelakoż nie trudno było dostrzédz zręczność i śmiałość dowodzącą zaród talentu. Postrzegłszy przebudzający się jenijusz, z początku uniósł się Jan Rubens nadzieją, że doczeka się swego syna widzieć sławnym artystą, lecz przypomniawszy sobie los autora sławnego poematu nieszczęśliwego Tassa, przypomniał sobie oraz, że znamienici i wielcy ludzie, rzadko kiedy bywają szczęśliwymi, że sławę nieśmiertelną po największéj części nabywa się wielkiémi ofiarami, i to nie wcześniéj, aż po śmierci, to jest na ówczas, gdy już się nie potrzebną staje; postanowił w samym początku zniweczyć, podług jego mniemania, niebezpieczną skłonność syna swego. Przybrał zatém surową postać i kiwając głową rzekł:

»Popsułeś mi tak piękne dzieło swojém lichém bazgraniem.... biegaj teraz bawić się, a nie wyrabiaj nigdy takich głupstw!«

Rok upłynął, jak Rubens umarł. Na śmiertelnym łożu polecił swéj dobréj Maryi troskliwość o dzieciach, ażeby im stósownie do ułożonego wspólnie planu, przyszłość zabezpieczyć; zrobił porządek w przysposobionym uczciwym sposobem majątku, i radził opuściwszy Kolonię, powrócić się do Antwerpii, gdzie pokój i bezpieczeństwo obywateli powrócone, i gdzie łatwo może znaleźć krewnych i ważnych protektorów. Oddawszy ostatnią posługę serdecznie kochanemu i szanownemu mężowi, Mefrou Maryja spełniła jego wolę, i z pomocą starszego syna Filipa, powróciła do swéj ojczyzny Antwerpii, gdzie Filip swą roztropnością tyle zwrócił na siebie uwagi magistratu, że bez względu na młody wiek, osiągnął znakomite miejsce sekretarza miasta Antwerpii.

Tymczasem Piotr Paweł Rubens, tak bystre robił postępy w naukach, że w trzynastym roku wieku swego, mówił po grecku i po łacinie jak rodowitym językiem a oprócz tego doskonale się tłumaczył po angielsku, po hiszpańsku, po włosku i po francuzku. Obdarzony zajmującą pięknością, żywémi, pełnémi wyrazu oczami, regularnémi i szlachetnémi rysami twarzy, powabną budową ciała; zwinny, śmiały, i szczególnie zręczny we wszelkich gimnastycznych ćwiczeniach ciała, a przytém posiadając przyjemny, łagodny charakter; zniewalał sobie wszystkich i był od wszystkich kochany. — Chrzestna matka ciągle nudziła Maryję, ażeby go jéj za pazia dała, a ta nareszcie uludzona jéj prośbami, zezwoliła, a tak hrabina Laden uwiozła chrzestnego syna do Brukselii i postępowała z nim jak z własnym synem.

Młodzieniec przyzwyczajony do czynnego oraz cichego życia pośród rodziny, nie znajdował upodobania w zbytkach i nieprzerwanych rozrywkach dworu. Zamiast poświęcenia się bezprzestannym zabawom i próżnowaniu, cały czas prawie trudnił się wierzchową jazdą i wkrótce zrobił się tak dzielnym jeźdcem, że wszystkich ściągał na siebie podziwienie.

Po cało-rocznéj niebytności przyjechał Piotr Paweł odwidzić na niejaki czas dom macierzyński, i z radością zaczął przeglądać biblijotekę zmarłego ojca. Pierwsza księga, która mu w ręce wpadła, było poema Tassa. Z wielkim podziwieniem przekonał się młody paź, że ojciec z osobliwszą troskliwością i staraniem utrzymywał i ochraniał rysunki i książkę, którą nazwał popsutą. Na ów czas pojął Piotr przyczynę udawanéj niechęci dobrego ojca, i to odkrycie na nowo wznieciło w nim miłość do malarstwa. Natychmiast wziął się do dzieła, a w kilka dni Mefrou Rubens wszedłszy z rana do pokoju syna, znalazła go przy trzynóżku z palitrą i pędzlami w ręku, radośnie zdziwioną i zachwyconą została, obaczywszy mały obrazek, który właśnie syn jéj ukończył.

»Ach droga matko!« zawołał Piotr, »dla czegoż ja mam żyć w próżniactwie u hrabiny, pozwól raczéj, ażebym się udał na naukę do dobrego malarza, jestem przekonany, że będę zręcznym i znakomitym artystą.«

»Cóż-to znaczy? Piotrze?« odpowiedziała matka, »co za myśl! Ty, syn szlacheckich rodziców, miałbyś być malarzem?«

»Kochana mamo«, odrzekł młodzieniec z skromością, »sądzę, że namalować piękny obraz, więcéj przyzwoito człowiekowi dobrego urodzenia, niżeli jeździć konno, grać w kości i obmawiać drugich.«

»Bardzo to dobrze moje dziécię, możesz się zostać w domu, jeżeli ci się u hrabiny nie podoba, lecz nie wspominaj mi więcéj o tém, na co żadnym sposobem zezwolić nie mogę.«

Cokolwiek bądź, pisze Miszel stary bijograf Rubensa, Piotr Paweł nie zaniechał swego przedsięwzięcia, przy sposobném wydarzeniu ponowił prośbę. Matka nie zezwalała: poczytała malarstwo za kunszt nieprzyzwoity dla syna swego, przedstawiała mu, że on jeszcze nazbyt młody, ażeby sobie obiérał stan do życia, że ona sposobiła i przeznaczyła go do powołania wyższego i że mu nigdy nie pozwoli być malarzem.

Bez względu na tak stanowczą odpowiedź, młodzieniec uniesiony popędem obudzonéj namiętności, posłuszny głosowi powołania, ponowił swe prośby i swoje dowody, i tyle dokazał, że matka zezwoliła zaprosić wszystkich członków rodzeństwa i opiekunów na radę w tym przedmiocie. Zebrana rada familijna zawyrokowała zezwolić na żądanie Piotra, i tenże nie posiadając się z radości, oddany na naukę do Adama Van Orta, znamienitego portrecisty w Antwerpii. Mistrz Adam, był człowiek surowy, grubijanin i bez ukształcenia. Z stolarza stał się znakomitym malarzem i z dawnego swego rzemiosła zachował sposób udziélania nauki i postępowania z swémi uczniami, którzy za cenę ciężkich trudów i upokorzenia, nabywali od niego jakichkolwiek wiadomości. Bez płomienistéj miłości do sztuki, jużby dawno opuścili byli uczniowie pracownią tego wpół-dzikiego człowieka. Rubens biorąc przykład z innych, cierpliwie znosił wszystkie nieprzyjemności, i tylko w towarzystwie spółkolegów Henryka van Belen, Sebastyjana Franka i Jakóba Irdensa, którzy także w nadgrodę za swą cierpliwość i trudy, z czasem wyszli na doskonałych malarzów, znajdywał jakąkolwiek pociechę.

Upłynęło ośmnaście miesięcy nauki a Rubens ani razu nie zmienił swego przedsięwzięcia, bez względu na ciężkie próby, które od dziwacznego i porywczego mistrza doświadczać musiał. Razu jednego powrócił Van Ort wieczorem z kompanii tak dalece rozgrzany winem, że osypał uczniów najpospolitszémi zelżywościami, i tak się bardzo zapomniał, że jednego z nich uderzył. Rubens z towarzyszami postanowił nieodwłocznie opuścić nauczyciela. Wszyscy powrócili do swych rodziców a Mefrou Rubens, u któréj właśnie w téj chwili, gdy syn przybył, zebrane było liczne społeczeństwo gości, korzystała z téj sposobności, ażeby przedstawić mu niedogodność stanu malarza, i zakończyła tém, że dla niego daleko lepiéj porzucić pęzle i kończyć naukę prawa. Jeden z gości, człowiek przyjemnéj i szlachetnéj postawy, który właśnie tego wieczora przedstawiony jéj został miejskim starostą, uśmiéchnął się na takowe twierdzenie troskliwéj matki, i upewniał ją, że nie wszyscy malarze takowi są jak Master Van Ort, i że on zna innych zasługujących na szacunek, tak ze względu na charakter, jako i wykształcenie. W czasie téj rozmowy wszedł do sali chrzestny ojciec Piotra, książę de Szimai, rzucił się do rozmawiającego gościa, uścisnął go po przyjacielsku, czyniąc mu wyrzuty, że przyjechawszy do Antwerpii, nie wysiadł w pałacu tego, który się pyszni przyjaźnią tak sławnego i poważania godnego męża.

»Widzisz pani«, rzekł gość obracając się do Mefrou Rubens, »iż nie wszyscy malarze grubijanie i nieuki. Teraz mogę pani odkryć, że i ja jestem malarzem, a chociaż nazywam się Oktawijusz Van Feno, nazwisko, pod którym przedstawiony byłem pani przez szanownego starostę, wszelakož na obrazach podpisuję się z łacińska: *Ottovenius*.« — Rubens zadrżał, na źrenicach jego błysnęła łza radości, zbliżył się, klęknął przed znamienitym umnikiem, chwycił go za rękę i do ust przycisnął.

Ottovenius zmiészany tym niemym hołdem podziwienia, wymowniejszym niżeli wszelka głośna pochwała, ledwie że sam nie zapłakał.

»Matko! kochana matko! proś Messir Ottoveniusa, ażeby mnie przyjął za swego ucznia«, rzekł z zapałem Rubens. »Mistrzu, ja nie wstanę, dopóki nie osiągnę téj łaski...«

»Przyjacielu mój«, odpowiedział staruszek, »jeżeli Wszechmocny rzeczywiście wlał w twą duszę powołanie do téj wielkiéj nauki, to ja gotów jestem wziąć cię do Brukseli i umieścić w mojéj pracowni. Jeżeli zaś do malarstwa ciągnie cię tylko lekkomyślność i chęć próżnéj sławy, to ja ci otwarcie radzę zejść z téj drogi, po któréj potrzeba postępować z ognistém zamiłowaniem i czystym zamysłem, lub téż całkiem nią nie puszczać się. Pokaż mi co z twojéj roboty u Van Orta.«

»W tym tu drugim pokoju«, rzekła Mefrou Rubens, »jest *»Boreasz porywający Orithee«*, obraz, który mi Piotr przeszłego tygodnia w dzień imienin podarował. Proszę ze mną zobaczyć go Messir.« — Poprowadziła Ottoveniusa do pobocznego pokoju, a Piotr poszedł za nimi drżąc od strachu i nadziei.

Obaczywszy obraz, krzyknął Ottovenius z podziwienia i radości, a obróciwszy się, w uniesieniu uściskał Rubensa.

»Ty będziesz największym malarzem Flandryi!« rzekł on; »ty będziesz największym artystą swojego czasu, przyłóż tylko pracy i doświadczenia dla pokrzepienia daru, który ci posłały niebiosa! Pojedziemy do Brukseli Rubens. Ja nietylko z radością zgadzam się na to, lecz żądam tego i błagam cię o to. Ty będziesz nie uczniem lecz przyjacielem i bratem moim. Niech będzie błogosławione przeznaczenie, które mię wybrało prowadzić na drodze do sławy tego, któremu los wskazał miejsce między Rafałem i Buanarottim. Teraz ja cieszyć się i zadowolony będę nazwiskiem artysty drugiego rzędu, gdyż potomność nigdy nie wspomni mojego imienia, nie dodawszy mu sławnego tytułu: »Nauczyciel Rubensa!«—Pójdź przyjacielu, jedziemy natychmiast do Brukseli.«

Można sobie wyobrazić radość Piotra i szczęście matki słuchającéj takowego przepowiedzenia dla syna. Następującego dnia Piotr Paweł Rubens i Ottovenius, puścili się w drogę do Brukselii, gdzie czcigodny mistrz z ofiarą i poświęceniem własnéj sławy, zajął się gorliwie prowadzeniem ucznia, udzielając mu tajemnic swego umnictwa i rozumném kierowaniem popędów wznoszącego się jenijuszu. Na chwilę go nieopuszczał, wszędzie z sobą prowadził, przestrzegał obyczajności jego z czułą troskliwością matki, i kształcił z niego nietylko wielkiego artystę lecz i doskonałego, młodego człowieka. Tym sposobem upłynęły dwa lata. Przy końcu tego czasu, Ottovenius stawał się coraz bardziéj zamyślonym i smutnym; Rubens często znajdował go w tajemniczych łzach, i tkliwe mu czynił wyrzuty, że tai zmartwienie, które syn wdzięczny pragnie z nim podzielać.

»Przyjacielu mój«, rzekł razu jednego mistrz, »konieczność rozłączenia się z tobą, wyciska mi te łzy.«

»Rozłączenia się? Cóżem zrobił? Czémżem na nie zasłużył?« krzyknął Rubens żałosnym i rozpaczającym głosem.

»Wszystko, co stanowi dumę moją, szczęście moje, wymaga tego kochany synu! Ty musisz jechać do Włoch, uczyć się pojmować wielkich mistrzów, oglądać nieśmiertelne wzory i doskonalić się w sztuce. Przyznaję się, tracę wszelką odwagę i bez gorzkiego smutku nie mogę myślić o rozłączeniu.... lecz to jest niewyboczną koniecznością dla twéj sławy. Tak być musi! Pojedziemy do Antwerpii i wyproszę pozwolenie od matki na tę podróż.«

Po kilku dniach przyjechał Ottovenius z swym uczniem do Antwerpii i udzielił Mefrou Maryi myśl swą o podróży młodego Rubensa; potém zaś całą duszą swą zajął się z troskliwością przysposobieniem uczniowi swemu wszelkich, jakich tylko można wygód i potrzeb do podróży. Dał mu pisma rekomendujące do licznych swych przyjaciół we Włoszech, i wyjednał mu pożegnalne posłuchanie u Wielkiego książęcia Alberta i małżonki jego Izabeli. Świetne przepowiedzenie Ottoveniusa, nie było już tajemnicą, w całéj Flandryi mówiono o tém, a chociaż Rubens stósownie do rady mistrza swego, wyjąwszy domowników, nikomu nie pokazywał prac swoich, wszelakoż na talent jego spoglądano u dworu, jako na przyszłą sławę Flandryi. Książę i małżonka jego, przyjęli młodego artystę nader łaskawie. Rubens miał na ówczas lat ośmnaście, lecz ze względu na wzrost, rozwite formy i fizyjonomiję, zdawał się starszym. W powierzchowności jego z młodzieńczym wdziękiem, łączył się wyraz powagi, który mu bardzo był do twarzy. Książę rozkazał przygotować polecające pisma dla niego do kilku włoskich panujących osób, i w najpochlebniejszych wyrazach zapewnił młodego artystę, że on zawsze znajdzie w swym monarsze dobrego i troskliwego protektora.

»Noś to«, dodał książę, zdejmując z swéj szyi ważny, złoty łańcuch i wdziéwając go na Rubensa, »noś i nie zapominaj pośród ułudzeń i honorów, któremi cię Włochy obsypywać będą, że ty nam należysz, i żeś winien wrócić do ojczyzny, która cię z otwartémi oczekuje rękami. Ottovenius doniósł nam, że za trzy dni wyjeżdżasz, niechże zatém tak będzie; dziś zostaniesz się z nami, jutro pożegnasz się z swą rodziną, a dzień po-jutrze należy twemu nauczycielowi.

»Ojcu memu«, rzekł Rubens do łez poruszony, »dobrodziejowi mojemu, któremu winien

jestem nadzieję osiągnienia niejakiego talentu, i Waszéj książęcéj Mości, wysokie nieocenione względy, słowem całe moje szczęście!«

»I ja idąc za przykładem wysokiego mojego małżonka, chcę, ażebyś nie zapomniał o mnie«, rzekła Wielka księżna, obracając się do rozpłomienionego młodzieńca, »noś ten pierścień, jako pamiątkę od twéj monarchini.«

Rubens z rozczulenia, padł na kolana, a łzy dwoma strumieniami potoczyły się po jego piękném licu.

»Najjaśniejsza pani, zlituj się!« zawołał Rubens tracąc przytomność, »umrę z radości!«

»Nie! my życzymy ci, ażebyś żył jak najdłużéj, a twoje imię — wiecznie«, odpowiedziała księżna. — Przyszła godzina pożegnania z rodziną; siostry i bracia płakali, żegnając się z Rubensem, matka była nieutulona. Błogosławiąc syna, zdjęła ze ściany mały śrébrny medalijon z wyobrażeniem Bogarodzicy, który Tasso podarował ojcu Rubensa oswobodziwszy go od śmierci.

(Dokończenie nastąpi.)

# DEJ I POETA.

Jean François Regnard, najszczęśliwszy spółzawodnik Moliera, jeden z najpiérwszych komedyjo-pisarzy Francyi, był w młodości swojéj namiętnym miłośnikiem podróży. Mawiał on często: »Jeżli chcesz to życie nasze z poezyjnéj poznać strony, daléj w drogę, ruszaj w świat! Podróż błoży i urozmaica w każdéj chwili jednostajne dni nasze, ona cię uczyni w jednym roku bogatszym w doświadczenie i znajomość ludzi, niż gdybyś przez lat dziesięć ogrzéwał się przy domowém ognisku.«

Byłoto roku 1673. Regnard z lekkiém sercem, a ciężką kiesą, chciał się udać z Neapolu do Marsylii. Pod ówczas nie znano jeszcze lotnych jak ptaki statków parowych. Ta droga, którą teraz w kilku dniach przebyć można, wymagała dawniéj kilka tygodni. Za owych czasów krążyły także po morzu nito głodne rybitwy, okręty korsarskie, spadały one niespodzianie na statki żeglowne i uprowadzając podróżnych w jassyr do Algieru, unosiły z sobą łup okrętowy. Noc czerwcowa była piękna, gwieździsta. Nasz poeta nucąc sobie wesołą piosnkę, przechadzał się po okrętu pokładzie, i rozkoszował przestronnym morza widokiem; aż oto za jednym razem ujrzawszy okręt pełnym żaglem oraz bardziéj się zbliżający, zawołał uradowany: »Kapitanie, czy widzisz ów ku nam goniący okręt?«

»O, nieba, to korsarze! Biada nam, jesteśmy zgubieni«, wykrzyknął kapitan.

»*Bravo, bravissimo!*« zawołał poeta, zacierając ręce z radości. »*Charmant*, to ja lubię! Podróż bez przygody, potrawa bez soli, kochanka bez wdzięku!« — Nie długo trwało, już padło kilka wystrzałów. — Podróżni wylęknieni ze snu, w nocném ubraniu wybiegli na pokład okrętu.

»Co się dzieje, przez Boga, mówcie«, zawtórzyła cała osada okrętowa.

»Nasz okręt«, zajęczał kapitan, »wpadł w ręce korsarzy, jesteśmy zgubieni!«

»Tak, tak, Bogu dzięki, jesteśmy zgubieni«, powtórzył poeta z śmiejącą miną.

Tymczasem okręt rozbójników morskich podpłynął już tak blizko, że korsarze na pokład francuzkiego statku wskoczyli. O odporze nie można było ani pomyślić, raz, że napad był niespodziany, powtóre, że rabusie morscy mieli pięć razy większą siłę i w ludziach i w broni.

Korsarze opanowawszy okręt, jęli się do dzieła. Żylastémi ramiony brali jednego po drugim, a odjąwszy mu broń, kładli go w twarde powrozy, kto się poważył stawić im opór, brał niemiłosierne cięgi.

Przyszła koléj na jowijalnego Regnarda.

»Mój zacny panie korsarzu«, rzekł poeta do Muzułmanina z potężną brodą, »cieszę się niewymownie, że mam to szczęście ujrzéć wasze szlachetne oblicze, i że mogę się poszczycić znajomością tak grzecznych osób.«

Rozbójnicy morscy mówili pod ówczas wielu językami, wyznawca proroka rozumiał więc naszego Regnarda.

»Mnie to jeszcze bardziéj cieszy«, odrzekł korsarz, »że go mam zaszczyt oglądać.«

»Chceszże dobrowolnie dać sobie związać w tył ręce, lub może chcesz piérwéj dostać kilkanaście kijów po grzbiecie?«

»Mój ty szacowny łaskawco, mimo uprzejmą grzeczność twoję, muszę ci się przyznać, że jestem oddawna łaskotliwy, i bardzo zawziętym wrogiem tego wszystkiego, co się kijami zowie. Każcie mnie już przez łaskę swoję związać, skrępować, jestem gotów na wasze usługi, ale co się tycze kijów, to sobie wymawiam.« — Wesoła śmiéjąca mina Regnarda, odbijająca tak bardzo od kwaśnych twarzy reszty wylękłych podróżnych, zdziwiła korsarza i ujęła go dla naszego poety.

»Jak widzę, masz więcéj odwagi, niżelim się po tobie spodziéwał.«

»Jestem Francuzem *Monsieur* i nie znam co bojaźń.«

»Podobasz mi się. Jako kapitan tego okrętu, podam ci dobrą radę. Naucz się naszego rzemiosła, zostań bohatérem morskim, czyli jak wy nazywacie, rozbójnikiem.«

»Nie mam ku temu najmniejszéj ochoty.«

»Jako, wolisz dźwigać pęta?«

»Wolę mój łaskawy kolego.«

»Niechże i tak będzie. Polecę twoję odwagę Jego Wysokości wielkiemu Dejowi.«

»Uczyń to szanowny starcze.«

»Dla czegoż zwiesz mię starcem? Wszakże nie jestem starszym od ciebie.«

»Jak sądzisz, wiele mam lat?« rzekł poeta.

»Najwięcéj dwadzieścia i pięć.«

»Wielkiegoś bąka ustrzelił mój szanowny łaskawco, wczoraj obchodziłem pięćdziesiątą ósmą rocznicę mego urodzenia.«

»Na brodę proroka, dobrześ się zamarynował.«

»O głupcze nad głupcami«, mówił po cichu sam do siebie Regnard, a po chwili rzekł głośno: »Wiészże jakim sposobem tego dokazałem?«

»Mów niewolniku.«

»Mam sposób na wieczną młodość.«

»Ałłah-Kerim! Co mówisz?« powierz mi tę tajemnicę?«

»Nie mogę.«

»Niewolniku, bądź posłusznym, albo cię uduszę.«

»Oto moje gardło.«

»A gdybym ci wolność darował.«

»Nie przyjmę jéj, chcę żyć między wami barbarzyńcami. Jednakże abyś o tém wiedział, że jestem grzecznym człowiekiem, przyrzekam ci, że skoro staniemy w Algierze, dam ci to cudowne lékarstwo, a teraz rozkazuję, abyś ze mnie zdjął natychmiast te przeklęte powrozy.«

Kapitan był posłusznym woli Regnarda. Wesołość, odwaga i chytrość mają urok talizmanu, niepodobne staje się podobném.—W szesnaście dni potém, zawinął okręt do ostoi algierskiéj.

Uwięzioną osadę okrętową zaprowadzono na targowisko niewolników i sprzedano. Tylko sam Regnard nie doznał podobnego losu.

Wysiadając na ląd, rzekł do niego kapitan korsarskiego okrętu: »Jesteśmy w Algierze, dajże mi to cudowne lékarstwo, a ja postaram się dla ciebie o korzystne miejsce u potężnego deja.«

»Niech się stanie twemu życzeniu zadość mój zacny opiekunie. Oto masz to cudowne odmładzające lékarstwo. Wieczorem, kiedy nastanie nów księżyca, połkniesz z tego pudełka jedne pigułkę, a za sto lat będziesz tak świéżo jak teraz wyglądał.« To mówiąc, dał mu pudełko z miętowémi bombonkami, które był wziął z sobą z Neapolu dla rozgrzania żołądka.

Poczciwy turczysko rzucił się naszemu poecie z radością na szyję, i przycisnąwszy drobnego Francuza serdecznie do piersi, omal go nie udusił. —»Pójdź ze mną spaniałomyślny człowieku«, rzekł rozczulony rozbójnik, a łzy wdzięczności ciekły mu z oczu. »Przedstawię cię naszemu panu i władcy, sławą uwieńczonemu Hadschi Mustafowi.«—I dotrzymał słowa, wprowadził Regnarda do pałacu deja.

Hadschi-Mustafa siedział na bogato tkanéj ottomanie z założonemi na krzyż nogami, pociągając gęste kłęby dymu z ozdobnéj fajki na długim wężo-krętnym osadzonéj cybuchu.

»Kogożto mi przyprowadzasz?« zapytał dej kapitana, puściwszy nosem i usty tuman dymu.

»Niegodny twój niewolnik śmiał domyślić się życzeń twoich. Dawno już pragnęła wysokość twoja mieć Francuza, jako pokojowego błazna, otóż widzisz przed sobą jeden egxemplarz, któremu się może powiedzie, być tak szczęśliwym iż wywabi na twoje wysokie usta choć uśmiech politowania.«

»Przystąp bliżéj błaźnie«, zachrząknął dej dziwnie połamaną francuzczyzną. »Co umiész?«

»Umiém jeść i pić.«

»I nic więcéj?«

»Czytać i pisać.«

»Cóż więcéj?«

»Także rachować, ale nie bardzo wiele.«

»Cóż więcéj?«

»Umiém golić, dąć na flecie.«

»Cóż więcéj?«

»Nie powstydzę się także przy bilarze, umiém grać *l'hombra, taroka, piqueta, casino, domino.*«

»I na tém koniec?«

»Sądzę, że sam wasz prorok nie wiele więcéj umie.... Umiém także, kiedy tego konieczna potrzeba trochę upiec i usmażyć.«

»Upiec i usmażyć! Wielki proroku! Co słyszę? Ty znasz się na kuchni!« zawołał dej z radości tak głośno, aż mu się tłusty zatrząsł podbródek, i mlasnąwszy smaczno ustami, pogłaskał się z rozkoszą po wydętym brzuchu. »Toś mi gracz, jak z raju zesłany! mianuję cię moim nadwornym wielkim kuchmistrzem, ale biada tobie, biada mówię, jeźli mi do smaku nie trafisz! Właśnie przed trzema dniami straciłem nienajgorszego kucharza, kazałem mu żywcem brzuch rozpruć, że mi baranią pieczeń przepalił.«

»O zgrozo! Za jedną baranią pieczeń!...«

»Ani mi mruknij! Milczenie i posłuszeństwo! Ty wiész, z kim masz do czynienia. Za godzinę będę jeść śniadanie, pamiętaj o tém.«

Kapitan zaprowadził Regnarda do nadwornéj kuchni.

»No, jakże ci się podoba nasza wysokość?« zapytał rozbójnik. »Nie prawdaż, Hadschi-Mustafa jest wzorem łagodności?«

»O bardzo luby, bardzo grzeczny człowiek, do rany go przyłożyć. Jednakże wolałbym, aby go...«

»Cóż wolałbyś?«

»Mówię, że wolałbym go na fiecie dmuchać uczyć.«

»Ba jeszcze co; on i bez ciebie dmuchać umie, i nie jednego już zdmuchnął! A teraz zabierz się do roboty. Nie zrób mi wstydu; pamiętaj, że tu o moję i o twoję głowę idzie, jeźli się źle spiszesz!«

Nie minęła godzina, a już śniadanie *à la française* było gotowe. Muzułmanin zajadając przesmaczne łakocie, rozpływał się z radości, a niejedna łza rozczulenia potoczyła się mu po wypukłych policzkach.

»O, cudotworny człowieku, mądrość twoja z siódmego nieba na uszczęśliwienie moje zesłana!« zawołał Hadschi-Mustafa, wpatrzywszy się pożądliwém okiem w wonne sosami półmiski! »Niech będzie Ałłah pochwalony! Teraz dopiero jestem, co się zowié szczęśliwym! Od téj chwili jesteś najbliższym mojemu tronowi, osypię cię złotem, upromienię zaszczytami, skąpię cię w rogu obfitości łask moich, przysynowię cię, podzielę z toba miłość mojego ludu i wszystkie moje skarby.« Hadschi-Mustafa rozwodząc się z wynurzeniem wdzięczności, tak się rozczulił, że aż pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Od téj chwili Regnard stał się polubieńcem deja, duszą całego dworu; siedział na szczycie koła fortuny, ale nieszczęście chciało, że polubienica deja, szalenie się w nim rozkochała! Nakiba, byłato piękność maurytańska, żółta jak cytryna, smukła jak trzcina bambusowa, a ognista jak wino cypryjskie. Mimo te piękne zalety, nasz wybrydny Francuz nie czuł do niéj żadnego pociągu. Zawracał wprawdzie miłosne oczy, wzdychał czasami goraco, mizdrzył się, lecz to była maska, on jéj nie kochał.«

»Chrześcijaninie!« rzekła do niego jednego razu nasza cytrynowa piękność. »Jeźli tak wielkim jak ja gorejesz płomieniem, okaż się godnym mojéj miłości.«

»Mów piękna hurysko, co mam czynić?«

»Ucickaj ze mną.«

»Nie ma co mówić, piękny to pomysł, ale dokądże mamy uciekać?«

»Na puszczę.«

»Ale jak nas dogonią.«

»Wstydź się, ty się lękasz?«

»Nie jestto bojaźń, ale uwaga, bo sama przyznasz moja gwiazdo, że miłość bez życia, jest niczem, a nasza ucieczka jestto gra o nasze życie!«

»Chceszże być wiecznym niewolnikiem deja?«

»Bynajmniéj gwiazdo mego nieba. Już przed dwoma miesiącami udałem się do francuzkiego konzula i zaklinałem go na wszystkie świętości, aby mnie wykupił z niewoli gorszéj od egipskiéj, pod którą upadał lud izraelski. Ale wasz dej, to stary kutwa, żąda za mnie okupu 5000 piastrów.«

»Nie łudź się płonną nadzieją mój najdroższy kochanku, uciekajmy na puszczę.«

»Do jutra przynajmniéj odłóżmy naszę pielgrzymkę.«

»Dziś jeszcze niech nam zaświéci gwiazda miłości! Spojrzyj, już noc spuszcza tajemniczą zasłonę, księżyc będzie naszym przewodnikiem, gwieździste sklepienie naszym dachem, a kwiecista murawa naszym dywanem!«

»Zaiste, są to pociągające powaby, ale chciéj zważyć moja droga, że ostre wieczorne powietrze, może nas kataru nabawić!«

»O, nędzniku!« zawołała Nakiba z iskrzącém okiem, a z za-gorsu muślinowéj sukni, błysnęło mordercze żelazo.

»Ratuj kto słyszy!« wrzasnął Francuz drżąc na całem ciele.

W tejże chwili otworzyły się drzwi tajemne, a przed obojgiem kochanków stanął Hadschi-Mustafa; i puszczając kłęby dymu z muzułmańską obojętnością, powodził leniwym wzrokiem po wylękłych twarzach. Po długiéj chwili przecedził przez usta te słowa: »A wiécie wy, co koran pisze, jeżeli Chrześcijanin przydybanym zostanie w miłostkach z Muzułmanką? Taki śmiałek ma tylko jeden wybór: albo przywdzieje turban muzułmanów, albo da się żywcem upiéc na stosie.«

»Co, ja mam być żywcem upieczonym? Ażaliż sądzicie, że ja po to do Algieru przybyłem?«

»Tchórzu! Umieraj wraz ze mną; ja z tobą na stos pójdę«, zawołała z oburzeniem Nakiba.

»Wolno ci, ale ja nie mam ochoty.«

»Uciszcie się«, wrzasnął dej. »Jesteś doskonałym kucharzem, twoje sosy nie wyjdą mi nigdy z pamięci, kocham cię więcéj niż wszystkie moje niewolnice. Wejdź w siebie, zostań Muzułmaninem, a ja cię uszczęśliwię, dam ci — dam ci za żonę Nakibę.«

Francuz usłyszawszy to, ledwie się ostał na nogach.

Wtem wszedł Mameluk z listem od francuzkiego konzula. — Dej wziął pismo do ręki, a odłamawszy pieczęć, czytał następujące słowa:

»W imieniu mojego miłościwego pana, króla Ludwika XIV., wzywam Waszą Wysokość, abyś raczył francuzkiego poddanego Jean François Regnard obdarzyć wolnością, a za uprzejmą grzeczność przyjąć okup 5000 piastrów.«

»Niech żyje król!« zawołał Regnard na całe gardło i omal z radości pod strop nie skoczył. »No, jakże z nami teraz panie Deju, czy weźmiesz pieniądze i puścisz mię na wolność, lub mam ci na kark zesłać naszego potężnego Ludwika?«

»Któż może nademnie być potężniejszym?—Mnie teraz tylko o to chodzi«—rzekł dej z rozczuleniem, »kto mnie będzie tak smaczno baraninę z różnemi sosami przyprawiał!«

»Ja temu nieszczęściu zaradzę; skoro stanę na mojéj ojczystéj ziemi, przyszlę ci najlepszego kucharza Francyi.«

»Przyszlesz mi?«

»Daję ci na to słowo honoru.«

»Jeźli tak, to idź sobie z Bogiem, daję ci wolność, a jeźli Nakiba jest w twoim smaku, weź ją z sobą, jeźli zaś nie, to każę ją w worek zawiązać i w morze rzucić.« — —

Regnard wraz z Nakibą powrócił do Francyi. Nakiba otworzyła w Paryżu kawiarnię pod godłem: *Au Dej d'Alger*, do której Regnard bardzo uczęszczał.

Później udał się znowu na podróż, zwidził Anglię, Niemcy, Holandyę, a powróciwszy do Francyi, osiadł w samotném ustroniu na wsi, gdzie około 50 komedyj napisał. Umarł w 53 roku dnia 4go września 1709.

## ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 15. i obejmuje: 1) Jaki wpływ marglu na polepszenie gruntu i najkorzystniejsze onegoż w rolnictwie użycie? 2) Z czego u nas gospodarz wiejski grosz miéć może? 3) Sposób utuczenia bydła w krótkim czasie. 4) Sposób robienia wódki wiszniówką czyli *kirschwaserem* zwanéj. 5) O organizacyi handlu drzewem i przemysłu leśnego. (Ciąg dalszy). 6) Wiadomości czasowe: O pożarach pochodzących z samo przez się zapalających się różnych przedmiotów. (Ciąg dalszy.)

Z Warszawy. *Pamiętniki z wyspy Św. Heleny*, hr. Las Casesa (Kazes), szambelana i Omeara oraz Antomarchego, lékarzy Napoleona, za dyktandą Cesarza powiększéj części pisane, stanowiące materyjał do historyi jego i epoki mu współczesnej, na język polski

przełożone, w krótkim czasie wyjdą w czterech dużych in 8vo tomach, każdy od 30 do 36 arkuszy obejmujących. *(K. W.)*

Nasz ziomek Sowiński, w Paryżu, sprawił wielkie wrażenie swojémi kompozycyjami, które się różnią od tegoczesnych utworów prostotą w układzie i śpiéwnością. Szczególniej chwalą jego uwerturę i symfoniję *la Fatalité*.

Mozaika. Michel Angelo Barberi w Rzymie, doprowadził mozaikowe malarstwo do najwyższego stopnia. Słusznie więc nazwany mistrzem w mozaice. Pomiędzy rozmaitemi jego dziełami, wyszczególnia się chronologiczny obraz pomników rzymskich, który powszechne uznanie wszystkich znawców sztuki uzyskał. Niedawno z polecenia Wielkiego księcia rossyjskiego, następcy tronu, zrobił dla niego stół mozaikowy, przedstawiający dwadzieścia cztery godzin. Dzieło to jest rządkiéj piękności. Książę Braeciano zamówił u niego również stół mozaikowy, z czarnego marmuru, w stylu *renaissance*. Mozaika przedstawia kościół św. Piotra, a na tle złotém, otaczającém ten cudny obraz, widać portrety wszystkich papieży i artystów, którzy się do wzniesienia i przyozdobienia téj świątyni przyczynili.

Statua Szyllera w Sztutgardzie z zwrokiem w bruk ulicy wlepionym, z kwaśną twarzą w dół pochyloną, jestże godnym wizerunkiem tego wielkiego wieszcza? Szyllera wzrok niech idzie w niebo. Srebrne gwiazdy, lotne chmury to dziedzina germańskiego piewcy, ztąd znosił na ziemię dyjamenty dla całej ludzkości. Niech oblicza jego błoga opromienia spokojność! Zdaje się, jak gdyby ironija kierowała dłutem Thorwaldsena, kiedy wyrzeźbiał statuę Szyllera.

Pokost dla zachowania obrazów. Pan Valée wynalazł rozczyn (podobno z *kautschuku*), aby zabobiédz szkodliwemu wpływowi powietrza na kosztowne malowidła. Obciągnąwszy tym roztworem obraz po obu stronach, nabywa płótno takiéj sprężystości, że nie pęka i że powietrze szkodliwie działać przestaje. Nadto sporządza tenże chemik pokost, a malowidło nim powleczone, opiéra się zniszczeniu czasu.

Yachting. Bogaty Anglik używa częstokroć rozkoszy, o jaką się ani Francuz, ani Amerykanin, ani Rossyjanin nie stara. Spleenowaty syn Albionu opuszczając swoję mglistą ojczyznę, obawia się upału, kurzu, radby miał przy sobie swoję rodzinę, służbę, psy, swoje domowe wygody. Cóż czyni? Oto buduje lekki okręcik, który lotem strzały pędzi. Okręcik ten nazywa się *yacht*; znajdziesz w tym pływającym domu wszystko, czego wymaga wygoda i dobry smak, jako to: pokój do ubiérania, sypialnię, pokój na kąpiel, co wszystko nie ustępuje najwytworniejszym boudoarom; znajdziesz tam ozdobne pułki na książki, narzędzia muzyczne różnego rodzaju, najrzadsze kwiaty, słowem, złoto zgromadziło w téj małéj przestrzeni wszelką wygodę, połączoną z przepychem. Statkiem tym kierują najbieglejsi oficerowie od marynarki. Że doborowej żywności i rozmaitego wina jest także podostatkiem, o tém ani wątpić. W tym tedy domku we wszystko zaopatrzonym, odbywa się podróż do Hiszpanii, Włoch, Sztokholmu, Petersburga i Konstantynopola. Taka podróż nazywa się *yachting*. Anglija ma całą flotę takich okręcików, a w Londynie jest klub zwany, klubem *yacht*, do którego tylko właściciele takich domków przypuszczeni bywają.

Ułamek z ułamku staréj gawędy. Sędziwy Borzęcki opowiada swojéj żonie i córce przygodę, jaką miał z Stanisławem Leszczyńskim: »Kiedyśmy z wojewodą poznańskim (Stanisławem Leszczyńskim) do Warszawy jachali, dwór cały poszedł przodem, izby na nas w Pyzdrach noclegiem czekać. Mnie jeno pan wojewoda w swojéj kolasie zatrzymał, mieliśmy bowiem niespodzianie odwidzić po drodze brata matki twojéj rybeńko, pana Bolestę, którego pan wojewoda serdecznie miłował. Aleści w drodze zawiadomił nas pan Krzycki, że Bolesta dniem piérwéj do stolicy się udał, zaczem upraszał, abyśmy u niego obiadek szlachecki spożyli. Ale że u pana Krzyckiego nie po szlachecku jeno po pańsku było, więc zmiérzch już zapadł, gdy pan wojewoda wyprosiwszy się od ostatniego kielicha, w dalszą puścił się podróż. — Z mocnego drzémania zbudził nas hajduk Piotrowski nie bardzo miłem doniesieniem, iześmy zabłądzili. Pan wojewoda obejrzał się po lesie, miarkował się po gwiazdach i kazał jachać drożyną na prawo, mówiąc: »Leszczyńscy na lewo nigdy nie jeżdżą.« I Bóg myśl dobrą przyjął łaskawie, bośmy za chwilę karczmę nad polem ujrzeli, pełno jasności w oknach mającą. Wybiegł do nas żydek z rudą brodą w czarnym łapserdaku i nizko się kłaniając, zapraszał na nocleg. »Ha, cóż począć, trudno po nocy biesów gonić, nocujmy paniebracie«, rzekł wojewoda. — W izbie karczemnéj był jakiś wojskowy graf, cudzoziemiec, na piernatach spał już na dobre, ale jego kalwakata składająca się po większéj części z szlachty Mazurów, osiadła do koła i piec i komin, a popijając miodek niezgorszego zapachu, zcicha gwarzyli. »Proszę waszmość panów braci zrobić nieco miejsca dla pana wojewody poznańskiego«, do najbliższych mowę moją obróciłem, lecz owe capy nie tylko, że się z miejsca nie ruszyły, ale jeden z nich rubasznym głosem odpowiedział: »Pan poznański usiedział się w podrózy, a ze i młody, moze się tes trochę i po izbie psechodzić.« — Masz wiedzieć rybeńko, że Leszczyński w młodym bardzo wieku został wojewodą, o co się szpakowata szlachta mocno sierdziła, mawiając: »A toć że jemu do szkół jeszcze chodzić.« — Na te słowa Mazura całą chmarą rozśmiali się na głos. Spojrzałem się na kord i byłbym ich mospanie *mores* nauczył, ale wojewoda pomiarkował moje chcenie i osadził moję rękę. Korciło mnie straszliwie, że się te drwale rozsiadły przed ogniem, a zdałoby się panu wojewodzie ogrzać, bo go wiatr mroźny po nosie i po uszach srodze otrzepał, co do mnie, twardszego lica anim pamiętał, że Gumprecht w Poznaniu 20 stopni mrozu obznajmił. Przecież ja was tu zażyję, pomyślałem sobie, nie próżno w szkołach zwali mnie figlarzem, zagadałem więc do arędarza: »Masz żydku jaja?« — »Mam jaśnie panie.« — »A będzie ich kupa?« — »Będzie dwa mędle.« — »Owóż tedy wbijesz je na słoninę i zaniesiesz dla naszych koni.« — »Dla koni?...« — »A przecież nie dla psów, bo psiarni z sobą nie prowadzimy.« — »Bez urazy jw. pana, to pańskie konie jajkami się popasają?« — »Czyś żydzie nie słyszał, że perskim ogierom należy przed owsem dać świeżych jaj na słoninę wbitych?« — »Przyznam się jw. panu, że jak żywię, o tém nie słyszałem... ale ja nié mam słoniny.« — »A!... to weź gęstéj tłustości.« — Mazury wytrzeszczyły oczy, jakby mnie niemi pożréć chcieli, skoczyło mosanie kilku do stajni, za niemi drudzy, i w mgnieniu oka żaden się w izbie nie został. Otóż trafił frant na franta, i wyrznął mu kuranta.« *(Bibl. W.)*

*Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.*
*Drukiem Piotra Pillera.*